Cena 50 groszy. Poczta opłacona zgóry.

GŁOS EWANGELICKI

PISMO TYGODNIOWE, POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIOŁA EWANGELICKO-AUGSBURSKIEGO W POLSCE.

Organ szerszych warstw ewangelików polskich, przy udziale ks. ks. profesorów: Ed. Burschego, J. Szerudy, K. Seriniego, A. Suessa, K. Michejdy, ks. dyr. A. Rondthalera, ks. prefekta Gloeha — z Warszawy, ks. G. Manitiusa z Poznania oraz członków Warszawskiego Kolegjum Kościelnego: p. p. mec. H. Eberhardta mec. A. Burschego, prof. gim. im. M. Reja, O. Bartla, prof. gim. zgierskiego, A. Wajgelta. Pod naczelną, redakcją I pastora Zboru Warszawskiego, ks. radcy A. Lotha.

Cena prenumeraty:
wraz z przesyłką pocztową:
2 złote kwartalnie.
Pojedynczy numer 25 groszy.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI o o o o
o o o o o WARSZAWA, ulica Kredytowa Nr. 4.
Prócz administracji prenumeratę przyjmuje: w Warszawie księgarnia W. MIETKE, Wspólna 10.
w Łodzi, księgarnia RENNERA, Piotrkowska 165.
i w Cieszynie, p. A. CYMOREK, Marjańska 27.

Wychodzi raz na tydzień
o o o w niedzielę o o o
Ogłoszenia:
Kolumna ćwierć 4 szpalty ogłoszeń, za wiersz nonparelowy po tekście 20 groszy, w tekście 40 groszy.

Konto czekowe w pocztowej kasie oszczędności Nr. 1508.

Rok VI. Warszawa, dnia 6 grudnia 1925 r. **Nr. 49.**

Mowa Ks. Superintendenta W. Semadeniego na pogrzebie ś. p. Stefana Żeromskiego.

Umiłowani w Panu Bracia i Siostry w Chrystusie! Czcigodni i szanowni żałobni słuchacze!

W głębokim smutku i ciężkiej żałobie, jaką pokryta została nietylko najbliższa rodzina, lecz i całe społeczeństwo i Ojczyzna nasza, zebraliśmy się dziś tu, w tym grodzie umarłych, by oddać ostatnią posługę chrześcijańską snem śmierci złożonemu współbratu naszemu w Panu, by złożyć hołd nieśmiertelnym zasługom wielkiego mistrza słowa, oddać cześć najdoskonalszemu z współczesnych Polaków, którego śmierć nieubłagana nam wydarła, nad którego skonem cała Najjaśniejsza Rzeczpospolita boleje.

I gdy mnie, jako słudze Bożemu przypadło w udziale przemawiać nad trumną Jego — azaliż mam Wam mówić, kim był **Stefan Żeromski**, jak wielkie były Jego zasługi, jak straszne te jego „Syzyfowe Prace" od zarania młodości, aż do ostatnich chwil niestrudzonego żywota? — Niech o tem wszystkiem mówią ci, co stojąc przy Nim, jak On świętej sprawie służyli, z Nim współpracowali na chwałę i na dobro Ojczyzny umiłowanej. Ja, jako sługa Boży i duszpasterz, chcę i muszę spełnić swój szczytny a święty obowiązek, mówiąc o tym zgasłym, niezapomnianym, wielkim Polaku, jako o prawym Chrześcijaninie, którego chrystjanizm, jako o tem miałem możność osobiście z rozmów naszych się przekonać, nie polegał na pewnych formach — przepisach — obrządkach i ceremonjach, lecz w czynie się przejawiał, w czynie bratniej miłości, o której Apostoł Chrystusowy w przepięknym swym hymnie miłości (I Kor. 13, 13) mówi:

„A tak zostaje Wiara, Nadzieja, Miłość, te trzy, lecz z nich największa jest miłość".

Tą miłością ukochał S. Żeromski Ojczyznę od dzieciństwa, gdy już na ławie szkolnej widział naokół tyle nienawiści i ciemięstwa, i w życiu późniejszem, gdy obłuda i faryzeizm, sobkowstwo i szalbierstwo miast miłości czystej a szlachetnej górę brało. Tą miłością On, który, jako mistrz nieśmiertelny z przed stulecia „cierpiał za miljony", pragnął ogrzać serca braci: tych maluczkich, tych bezdomnych, tych upośledzonych, by ich pobudzić do zaparcia się i poświęcenia dla świętej sprawy Ojczyzny. Tą miłością otaczał On najbliższych swoich najserdeczniejszemi węzłami z Nim złączonych. I tą samą miłością obyśmy i my wszyscy Jemu się odwzajemnić umieli, czcząc Jego pamięć świetlaną, darząc Go niezatartem wspomnieniem i serdeczną wdzięcznością. A gdy czuł On, że nadeszło przedwiośnie nowej, lepszej przyszłości dla drogiej Ojczyzny, gdy wierzył, że zerwane zostaną może niezadługo krępujące więzy obskurantyzmu i ciemnoty, faryzeizmu, pyszałkowatości lub zaprzaństwa, i gdy miał wkrótce dać nam nowy twór swego genjuszu, swego olbrzymiego talentu i wzniosłych myśli — pękła nić żywota, i w sieroctwie duchowem jesteśmy pogrążeni.

Lecz jak prawy chrześcijanin ufa i wierzy, że przez śmierć idziemy do szczęśliwszego bytowania, tam w wiecznej Ojczyźnie, — tak i my, jako prawe i wierne dzieci Ojczyzny doczesnej, ziemskiej, nie upadajmy na duchu, i wierzmy silnie i niezłomnie, że prace i trudy zgasłego szermierza świętej sprawy, przyniosą owoc dobry i będą posiewem lepszej, wciąż coraz doskonalszej przyszłości Ojczyzny.

Sursum corda i Amen.

LEON RYGIER.

ZWYCIĘSTWO NAD SZATANEM

(Nad świeżą mogiłą Stefana Żeromskiego).

I.

„Wznieśmy się z naszych podziemnych nor, z kanałów, jam, piwnic, z zatęchłych domów i stańmy się, w uwielbieniu wolności i piękności istnienia, do wolnych i pięknych ptaków podobni".

Te słowa, brzmiące entuzjazmem wiekuistej młodości, wygłosił Żeromski nie u progu życia, kiedy olśnienie jego uroczystem pięknem przypina duszy skrzydła niecierpliwe; wygłosił je, przeciwnie, na dwa lata przed śmiercią, wyszedłszy „ze zgnilizny i z latających błot miasta na podsypiska i duny Helu."

Ta przedziwna żywotność autora „Międzymorza", z którego wyjęty jest okrzyk powyższy, przypominający wezwanie nad poziomy z „Ody do młodości", tembardziej nas zdumiewa, gdy uświadomimy sobie bezmiar trudu i męki, jakie za sobą pozostawił autor „Ludzi bezdomnych" i „Popiołów".

Nad świeżą mogiłą wielkiego poety wzniosłości wczujemy się sercem zbolałem, lecz miłującem w cudowną tajemnicę tego okrzyku starego człowieka, który wyprzedził i zawstydził młodych.

W książce o „Snobizmie i postępie" Żeromski sam daje nam złoty klucz do tej tajemnicy w swojej prześlicznej definicji postępu, która jednocześnie jest wyznaniem najżarliwszej, niezłomnej jego wiary. „Błogosławiony jest, mówi, postęp nieustanny, nieustępliwy przed niczem, dokładny, ściśle świadomy swego rozwoju i biegu, postęp, który się zaczął w naszej Ojczyźnie z chwilą wyzwolenia jej z obcej niewoli! Mało go jeszcze, jak mało jeszcze szczerego złota w skarbcu polskim, ale się z dnia na dzień powiększa, jako i złoto. Postęp nie może się zamknąć w żadnej doktrynie, wyrywa się z objęć każdej, szukając w swych przemianach formy coraz doskonalszej, a zużywszy poprzednią, przeistacza się w inną, bardziej zbliżoną do wzorca wyśnionego. Nie może się zmieścić w szrankach żadnej politycznej czy społecznej partji, gdyż jego zadanie polega na przekształceniu człowieka, skrępowanego powrozami doczesności, na ducha wolnego, syna bożego i brata synów bożych".

Tak, tu jest źródło wiekuistej młodości. To samo, z którego czerpał Mickiewicz, tworząc „Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego"; w którem skąpał się Słowacki, niosąc Polsce swoje genezyjskie objawienie, — w którem wreszcie odbiły się pierwsze różane promienie „Przedświtu" Krasińskiego. Profesor Dębicki z „Emancypantek" Prusa nazwał je poporostu „czuciem", jakimś zmysłem metafizycznym, przy pomocy którego „czujemy" bezpośrednio istnienie Boga i duszy własnej, dążącej do upodobnienia się do swego pierwowzoru, a więc kroczącej, mimo chwilowych zboczeń czy upadków, po drodze nieustannego rozwoju. Jak trzej wieszczowie, jak autor „Emancypantek", Żeromski obdarzony jest cudownem jasnowidzeniem wielkiego dramatu, który odbywa się w duszy naszej, a który jest walką anioła z szatanem o ten, religijnie pojmowany, a raczej „odczuwany" — nasz postęp. I dla niego, jak dla Krasińskiego w „Nieboskiej", kolosalna scena te-



Stefan Żeromski

Fot. J. Malarski.

NAD GROBEM STEFANA ŻEROMSKIEGO.

Od Ciebie się uczyłem, kiedy byłem młody,
Czcić zachwytem upojnym cud życia urody,
A razem w głuchym smutku załamywać ręce
Nad jej kwiatem zdeptanym i więdnącym w męce.

Od Ciebie się uczyłem porzucać niezłomnie
Wszystko, co śpiewem szczęścia przemawiało do mnie,
I odchodzić w mrok żalu, który wiernie czeka
Bezdomnego wśród braci bezdomnych człowieka.

Od Ciebie się uczyłem szarpać serce żywe,
Że kształt uroczy grzechu kocha, nieszczęśliwe,
I we krwi, co płynęła z jego świeżej rany,
Maczać chustę i kląć się, że zwalczę szatany.

Od Ciebie się uczyłem na odludnej plaży
Modlić się wobec nieba gwiaździstych ołtarzy
I bezmiarami morza, i gwiazd dalekością
Koić rozpacz i ból swój nazywać marnością.

Warszawa, 23. 11. 1925 r.

I już Ty mi nie umrzesz, ani znikniesz w grobie,
Bo ja piękno Twej duszy mam nazawsze w sobie,
Boś w miljony mych braci wstąpił, serc tyranie,
I nigdy się nie skończy Twoje królowanie.

Z cierni i gwiazd korona Twoja nam przewodzi,
Jako latarnia morska skołatanej łodzi,
Wiatr od morza nas z sobą na głębie porywa,
Gdzie Twa wola wielkości trwa, wieczyście żywa,

W ekstazy Twej rozświetlach, w skrzydeł Twoich biciu
Nie damy się już zdeptać miażdżącemu życiu,
Lecz poddani na wieki Twej fatalnej sile,
Jak złotoskrzydłe z prochu wzlecimy motyle.

O, bądź nam pochwalony za tę mękę ducha,
Co, choć piersi rozrywa, lecz buntem wybucha,
I póty leje w serca rozpalony ołów,
Aż nas, zjadaczy chleba, przerobi w aniołów.

LEON RYGIER.

go dramatu ma trzy olbrzymie piętra, z których najniższe jest we władaniu złych, a najwyższe — dobrych duchów.

Ale ten metafizyczny zmysł „czucia“ spraw wiekuistych, o ile na schyłku życia przyniósł Żeromskiemu wiarę w postęp i doskonalenie się człowieka, o tyle we wcześniejszej fazie jego twórczości skazywał go na straszliwe męki zwątpienia. Któż z nas nie pamięta tragicznej postaci manichejczyka Fortunatusa, opisanego w „Popiołach“ z racji dysput masońskich, który zadręcza się rozwiązywaniem kwestji, skąd płynie zło?... Aczkolwiek zwyciężony w dyspucie przez św. Augustyna, Fortunatus nie został „przekonany w duchu“ — i wierzył we współwieczność dobra i zła, Boga i szatana. Życie stało mu się piekłem nie do zniesienia, bo igraszką sił ślepych, bezrozumnych, nie dających się niczem przebłagać, ani nawet w działaniu swem przewidzieć. Wieczne ataki szatana na państwo światłości utwierdzały Fortunatusa w mniemaniu, że „wojna jest pramacierzą wszystkiego“.

I dla Żeromskiego konieczność nieustannego bojowania z szatanem stała się klątwą życia jego samego i braci jego, ludzi. A mam wrażenie, że, jak Fortunatus, długo, bardzo długo nie był „przekonany w duchu“. Długo, bardzo długo, walcząc o triumf dobra, mniemał, że jest rycerzem przegranej sprawy. I to właśnie winno mu być poczytane za największą zasługę, że wbrew nadziei nie porzucał sztandaru. Jak Judym w „Ludziach bezdomnych“, jak Żółkiewski w „Dumie o hetmanie“. Że zanim wzrok jego, łudzony przeciwnemi pozorami, dostrzegł nareszcie potęgę dobra, serce jego ukochało tego dobra porażki męczeńskie. I może dobrze się stało dla nas, spuścizny wielkiego twórcy szczęśliwych dziedziców, że musiał on się przedrzeć przez ciernie krwawiące zwątpienia: w cierpieniu bowiem okrutnem zrodziła się jego miłość dla cierpiącego człowieka, przejrzało jego serce widzące. I, zanim jego wiara w postęp wygnała precz z granic Polski Smętka, odwiecznie rządzącego w niej szatana, Żeromski przycisnął do piersi tych wszystkich, którzy braćmi naszymi będąc, nic od nas, prócz okrucieństwa, nie zaznali. I wielu, wielu z nas tylko dzięki niemu ujrzało ohydę przemocy człowieka nad człowiekiem. I zrozumiało te błogosławione w mądrej prostocie swej słowa:

„Człowiek jest to rzecz święta, której krzywdzić nikomu nie wolno“.

On, Żeromski, w pokoleniu swojem zbudził uśpione sumienie.

Prawda, że i on nieraz bywał przytem okrutny. W tem bardziej zaciekłej, im bardziej beznadziejnej walce ze złem nie cofał się przed niczem. Zdzierał błony blizn, zarastające najsroższe nasze rany, o ile to było mu potrzebne do zbudzenia zasypiającego w plugawem zleniwieniu ducha. Obnażał wszystkie wrzody, wszystkie ohydy naszego narodowego i społecznego życia; biczem gorzkiego, bezlitosnego szyderstwa chłostał wszelką szpetotę moralną, wszelki kompromis, wszelkie tchórzostwo. Przenikliwy wzrok jego wydzierał z najtajniejszych kryjówek duszy zaczajone w nich łotrostwo, by je pod pręgierz stawić w świetle bezwzględnej prawdy swego



Dom Żeromskiego w Konstancinie.

Fot. M. Fuks.

czujnego sumienia. „Siłaczka“, „Promień“, „Ludzie bezdomni“, „Róża“, „Duma o hetmanie“, „Dzieje grzechu“, „Uroda życia“, „Walka z szatanem“ wreszcie pełne są tego okrutnego gniewu, który się rodzi z miłości dobra, a więc nienawidzi biernego niesprzeciwiania się złu. Ale strzeże się Żeromski pogardy, odwracającej się z obrzydzeniem od szpetoty dusz i czynów ludzkich. Gniew karzący jest twórczy, pogarda zabija. „Do podłego kruszcu pogardy lada dorobkiewicz i prędko dokopać się zdoła, lecz do złota wyborowego, którem za zniewagi my płacimy, jeno przez głębokie, twarde, skałą zamurowane

wnętrzności ziemi wryć się trzeba. Głęboko leży polski skarb, o dobry synu"! Tak mówi hetman Żółkiewski i tak wierzy Żeromski. Więc nie gardzi, lecz chłoszcze; więc nie odwraca się., lecz oskardem wali w pierś kamienną skały.

II.

Długo, długo naśmiewał się szatan ze świętego gniewu wielkiego pisarza. Długo, długo u słupa swego mocował się z jego szyderstwem Walgierz Udały. Napróżno hetman Żółkiewski wyglądał otchłaniami wyżartych przez kruki oczu przebudzenia się duszy polskiej. Padł od



Ś. p. S. Żeromski w trumnie.

Fot. M. Fuks.

magicznego gestu dłoni napoleońskiej jasny rycerz wolności i wielkości naszej, genjusz wstrzymany przez śmierć w orlim pędzie, Józef Sułkowski. Z marzeń jego zostały popioły. Ale w popiołach tlała iskra buntu przeciwko przemocy szatana. Zginął Rafał Olbromski, pokonany przez ohydnego turonia pomsty galicyjskiego chłopa, ale Hubert Olbromski zmylił czujność zwierza i uszedł, by dalej prowadzić walkę z najeźdźcą. Rok 63-ci schłonął życie Huberta i kapitana Rymwida, ale pozostała po nich legenda wiernej rzeki i samotnego powstańczego grobu na odludnej drodze kieleckiej. I oto z grobu tego wyszło nowe sprzysiężenie przeciwko panowaniu szatana, triumwirat Rozłuckiego, Bezmiana i ks. Wolskiego. Triumwirat rozrósł się, spotężniał, zmienił się w armję podziemną. Czarowic i Rycerz Bandos stanęli na czele tej armji.

„Jak najcudniejsza łąka słał się lud ze wsi dalekich, z miasteczek, z izb rzemieślniczych, z nor nędzarzy. Wśród tłumu stała szlachta z pałaców i dworków, „inteligencja" rozmaitych zawodów. Nad głowami wszystkich powiewały symbole braterstwa i idei. Rycerz-Bandos mówił na temat tej prawdy, wyszarpanej z męczeństwa przez poezję polską.

„Ty nie jesteś mi już krajem,
Miejscem, domem, obyczajem,
Państwa zgonem albo zjawem,
Ale cnotą, ale prawem"...

Taka to Polska, takie to zwycięstwo nad szatanem w Polsce śniło się w 1905 r. Rycerzowi-Bandosowi i jego piewcy, Stefanowi Żeromskiemu. Ba, wierzyli obaj, że nareszcie złączyło się rozdzielone serce wszystkich stanów, wszystkich klas w Rzeczypospolitej. „Okaże teraz szlachcic polski wielkość duszy, która przecie samą siebie w trudzie tylu lat przezwyciężyła. Odpasze wreszcie złotolity pas i zrzuci z ramion kontusz czerwony. Zstąpi w piastowski lud i stanie się ludem. Najpierwszy jego narodowy czyn będzie zniesienie aż do najdalszej granicy nędzy parobków, podźwignienie aż do chrześcijańskiego wspólnictwa we wszystkiem dobru robotników rolnych. Nie przymusowe, lecz dobrowolne wywłaszczenie! Będzie wśród nas milczący majestat wielkiego uczynku, gdyż będziemy jeden lud, szarpiący w ciszy powrozy swych nałogów, zdzierający wrosłe w ropę ran przepaski złudzeń. Prawo, które teraz w pośród nas jednogłośnie, starym obyczajem zapadnie, zaświeci w mroku świata, jak na początku Szczerbiec, trzaskający w bramę wschodu".

A Szatan, szpiegujący marzenia nieuleczalnych romantyków wiary w człowieka i naród, śmiał się za ich plecami i ostrzył sztylet, sączył weń swe jady.

„W istocie, w istocie...

Zaledwie rok upłynął od owej chwili, gdy panowie dziedzice w „pszennym kraju", w pięknej ziemi lubelskiej zjechali się wielką gromadą w wiekopomnym grodzie Lublinie. Głęboko w tajemnicy radzić poczęli nad tem, jak, w jaki sposób odebrać drobną podwyżkę parobczańskiej płacy, którą byli parobcy w lecie na panach zmową wymogli. Ktokolwiek do zmowy ucho podawał, dostał od dziedzica znaczek sekretny, cyferkę na książce służbowej, herb nowego nadania. A każdy taki herbowy wyrzucony został ze służby na zimę".

Skończyły się marzenia. Zdeptali je panowie — szlachta i panowie—fabrykanci. W zapomnienie poszła niewysłowiona męka utykającego po drodze, kieleckiej chłopczyny — bandosa i śmierć tragiczna robotnika Osta, katowanego przez moskiewskich zbirów za podziemną walkę o niepodległość Polski. Tylko „jęk w wichrze" między mogiłami na stoku cytadeli zawodził: „Kiedyż uniesiem głów ponad zbroczone wezgłowie, kiedyż na ludu łonie spoczniemy w sławy koronie — któż nam odpowie?

A szatan zwątpienia w postaci „śniegowego węża", prężącego się nad mogiłami, świszcze szyderczo: „Nikt wam nie zmąci snów — grobom, wkopanym w mogiły, mocy, strąconej w dół zgniły... Niewola wieje przez sioła,



Kondukt żałobny pogrzebu ś. p. S. Żeromskiego.

Fot. M. Fuks.

niewola idzie przez miasta, szlak wasz szalejem zarasta. Nikt was nie woła". Już wodzowie rewolucji w więzieniu. Już bawi się i huczny karnawał święci otrząśnięta z trwóg stolica. „Coraz głębiej, aż do ostatniej granicy przechodzi pęknięcie przez serca samotne, które trwogi nigdy nie znały. Patrzyły na zawodność każdego z widziadeł ducha, a teraz mają poznać ostatnie polskie rozczarowanie, przed którego stwierdzeniem truchleje słowo".

III.

Nie poznały!.. Dość już snać było męki, dość próby grobu!... Tylekroć zawiedzione, tylekroć w ziemię wtratowane „sny o szpadzie" zakiełkowały runią cudowną wolności. Z oceanu krwi wynurzył się nowy ląd. Wolna już Wisła popłynęła ku morzu, „wykreślając kierunek

westchnieniu polskiemu, tęsknej źrenicy pokazując cel". Jeszcze raz w 20-ym roku ruszyły na nas zastępy szatana, ale tu stał się cud, który świętą radością i świętym entuzjazmem przepełnia serce wielkiego pisarza. Ziściły się marzenia jego o pokonaniu w sobie tura przez lud polski, o rozbłyśnięciu prawdziwej ludu tego natury.

Z powodu tego cudu takie oto słowa pisze w onym pamiętnym roku Żeromski: „Nie zostały wysłuchane głosy, ażeby na sztandarze Polski nowej wypisane zostało hasło nie niższe od bolszewickiego, lecz wyższe, świętsze, sprawiedliwsze, mądrzejsze, ponad śnieg bielsze. Śmiano się z głosów tych. I oto teraz na ostrzu bagnetu Chińczyka, w świście nahajki kozaka, wśród turkotu kulomiotów, nastawionych przez Łotysza przeciwko niewinnej, najzacniejszej w Polsce krwi, przeciwko krwi młodzieńczej, miało się nam objawić nowe prawo, narzucone zzewnątrz prawo wyższe, głębsze i sprawiedliwsze, niż nasze. Stał między nami i tem wojskiem zzewnątrz przychodzącem wielomiljonowy bezrolny i bezwolny lud i miał między ojczyzną i przychodniami wybierać.

O, Polacy! Niech wasze ręce składają się do modlitwy, albowiem ci bezrolni i bezdomni Polskę wybrali. To nic, że tam i sam ten i ów poszedł z rozpaczy za wrogiem. Cały bowiem lud polski poszedł w bój za ojczyznę. Opasali się pasem żołnierskim nędzarze, którzy na własność w ojczyźnie mają tylko grób, i z męstwem, na którego widok oniemiał z zachwytu świat, uderzyli w wojska najeźdźców. Od krańca ziemi polskiej do drugiego krańca, gdziekolwiek brzmi nasza mowa, jeden się podniósł krzyk: „niech żyje ojczyzna". Alboż nie było tak? Alboż nie widział świat tego nieopisanego zjawiska? Zapomniane zostały wszelkie, czyjekolwiek winy i, jak Grecy pod Maratonem, zniweczyliśmy wroga". Lud na ciele szatana, podszywającego się pod wzniosłe hasła wolności i równości, a niosącego w istocie niewolę i podbój, zatknął sztandar miłości ojczyzny.

I wtedy Żeromski uwierzył nareszcie w możliwość zwycięstwa nad szatanem. Jął głosić przykazanie, że pokonawszy bolszewizm na polu bitwy, należy go pokonać w sednie jego idei: „Na miejsce bolszewizmu należy postawić zasady wyższe odeń, sprawiedliwsze, mądrzejsze i doskonalsze. Trzeba ruszyć z posad Polskę starą, strupieszałą, gnijącą w jadach, któremi ją nasycili najeźdźcy".

Od tej chwli wielki pisarz nie ustawał w pracy, by nam wskazywać nieskończone pole czekającego nas trudu.

Po porażce szatana wschodniego przyszła kolej na wygnanie Smętka, djabła pomorskiego. W „Wietrze od morza", który dla odwiecznego wroga germańskiego jest nowym Grunwaldem, przegranym na polu idei, opisuje nam Żeromski budowę portu gdyńskiego. Tego portu, który stał się dlań ostatniem marzeniem o potędze Polski. Robotnicy, korzystając z chwili odpoczynku, wiodą spór o to, kto powinien rządzić na Pomorzu: Niemcy, czy Polska.

Spór kończy dialog pomiędzy robotnikiem Polakiem i robotnikiem Niemcem.

— „Kto jest Niemiec z rodu i z mowy, a na polskiej, czy tej kaszubskiej ziemi się zrodził, z nami pracuje i na kawałek chleba zarabia, kto z nami szczerze żyje i zdrady w sercu nie chowa, ten jest nasz brat najrodzeńszy, przyjaciel i kamrat wieczny. Nie żywimy do Niemców, naszych współrodaków i towarzyszów, zemsty ani odrazy".

W odpowiedzi na stosie kamieni Niemiec rodowity stanął i po niemiecku przemówił:

— „My robotnicy nie chcemy już panowania nad Polską. Nie będzie już przenigdy Prusak niemczył Kaszuby! Dlaczego jeden naród ma nad drugim narodem panować? Dlaczego Polska nie ma się wydźwignąć z niewoli, z niedoli? Czemu nie ma zaprowadzić u siebie ładu, czystości, zdrowia, porządku, ozdoby i wygody takiej samej, czy odmiennej, jak Niemcy zaprowadziły u siebie, a może lepiej i piękniej, niż Niemcy? Precz z przemocą narodu nad narodem! My, Niemcy nowe, podajemy szczerą dłoń wiecznej zgody nowej Polsce. Precz z wojną!"

Tłum radośnie, jednogłośnie zakrzyknął: — „Precz z wojną!".

Dialog ten jest najlepszym dowodem, jak silną stała się w Żeromskim wiara w triumf dobra nad złem, miłości nad nienawiścią.

A jeśli dla triumfu tego trzeba jeszcze ofiar, jeśli budziciel ciemnych mas ludowych, siewca wiedzy i idej nowoczesnych, Przełęcki, musi poświęcić szatanowi „przepióreczkę", pierzchliwego ptaka swej miłości dla kobiety, to nie jest to ofiara dla „przegranej sprawy", jak ofiara najtragiczniejszego z ludzi bezdomnych, doktora Judyma.

Przeciwnie: dzięki tej ofierze szatan w Polsce zostanie nareszcie zwyciężony, jak zwyciężona została niewiara w potęgę dobra w sercu wielkiego pisarza.

Niech się tu nikt nie zająknie nieszczęsną plotką o „Przedwiośniu". W spuściźnie po Żeromskim zostały rozpoczęte dopiero, niestety, karty dalszego ciągu tej powieści, który miał nosić tytuł: „Wiosna". Powstał już komiet, który ma się zająć losami tej spuścizny. Czy jednak ukaże się ona w druku, czy nie, sam tytuł dzieła świadczy, że ostatniem marzeniem zmarłego pisarza było słońce wiosenne, zwyciężające mroki długiej naszej nocy — niewoli, Ormuzd, zwyciężający Arymana.

PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI.

Ideał ewangeliczny Żeromskiego.

„Ponad nimi wszystkimi, jako żałosny polski biały ptak, polata myśl hetmańska; wszystko nieulękłem rozsadzającą baczeniem:

„Ciebie się nietylko boję, lecz lękam; o wolna, o kresu nieznająca duszo polska! Przed tobą drżę; ty niełacna, krnąbrna, sama siebie szaleństwem chłoszcząca, ty samej sobie nieznana i nikomu niewiadoma"... (Duma o hetmanie).

Człowiek, który napisał te słowa, jest czemś więcej, niż wielkim pisarzem, który odtwarza świat istniejący. Nie opisuje on bowiem rzeczy istniejących, ale tworzy sobie świat własny, w którym winy dnia wczorajszego i bierność dzisiejszego znaleźć mają odkupienie. Idealista w najszlachetniejszem znaczeniu słowa nie przestaje myśleć o koniecznej naprawie Rzeczypospolitej w duszach i sercach ludzkich. Nieodrodny wnuk Modrzewskiego, zdaje się pamiętać jego głębokie piękne słowo: „Niemoc duszy jest od choroby ciała, przeto zlecczcie naprzód serca wasze". Nową tworzył Polskę i nowymi zaludniał ją obywatelami, umiejącymi dla sprawy wspólnej poświęcić szczęście własne.

Był wychowawcą i będzie nim jeszcze długo. Czytelnicy jego „Ludzi bezdomnych", „Róży", „Promienia", „Snu o szpadzie", „Syzyfowych prac", nie sięgali po jego książki, aby się przyjemnie pobawić artystycznemi opisami ciekawych zdarzeń, bo książek Żeromskiego niepodobna odłożyć z ręki, aby się po ich czytaniu nie zamyślić głęboko i nie odczuć boleśnie tej rozbieżności, jaka, niestety, istnieje pomiędzy ideałem życia a rzeczywistością. Jego opowieści nie szły za wydarzeniami, ale je wyprzedzały. To nie był Homer, opiewający czyny Achilesa i wędrówki Odyseusza pod jasnem niebem Grecji, śród pogodnych i wesołych słuchaczy; wkroczył w pustkę świata zamierającej nadziei, w krainę krzyżów i mogił z niewymownem pragnieniem, aby na pustkowiu wyniszczonem przez wrogów zakwitło nowe życie. Temu życiu marzone-

mu potrzeba było nowych ludzi, gotowych do ofiar i poświęceń i Żeromski zaczął ich tworzyć na obraz i podobieństwo swej wielkiej duszy.

Każda z prac Żeromskiego daje nam odczuć, jak bardzo, jak gorąco pragnie on, aby na świecie zapanowała dobroć i miłość. Wyrzucano mu niejednokrotnie, że do powieści swoich dodaje zawsze jakiś traktat społeczny, że buduje jakieś utopijne falanstery, czy klasztory, w których realizuje się ideał przyszłego człowieka. Nie był nigdy moralizatorem, jego ideał chrześcijańskiej miłości i poświęcenia nie jest konstrukcją racjonalistyczną, opartą na sylogizmach, z których wyprowadza się pewne wnioski, nie mówi on o chrześcijaństwie, nie cytuje ewangelji, ale w dziełach jego żyją sobowtóry jego własnego ducha, a są jakby uosobieniami ideału najwyższego poświęcenia się dla braci. Jedne z jego postaci pochłonięte są myślą o odrodzeniu społeczności ludzkiej na zasadach miłości i braterstwa, inne ucieleśniają troskę o naród i Ojczyznę. Niema ani jednego dzieła Żeromskiego, w którem idea poświęcenia i ofiary nie odgrywałaby roli pierwszorzędnej.

Przemawiający nad grobem jego ks. superintendent Semadeni mówił o nim „jako o prawym chrześcijaninie, którego chrystjanizm nie polegał na pewnych formach, przepisanych obrządkach i ceremonjach, lecz się w czynie przejawiał, w czynie bratniej miłości, o której Apostoł Chrystusowy w przepięknym swym hymnie miłości (I Kor. 13, 13) mówi: „A tak zostaje Wiara, Nadzieja, Miłość, te trzy, lecz z nich największa jest Miłość". Tą miłością ukochał Stefan Żeromski Ojczyznę od dzieciństwa, gdy już na ławie szkolnej widział naokół tyle nienawiści i ciemięstwa. I w życiu późniejszem, gdy obłuda i faryzeizm, sobkostwo i szalbierstwo, miast miłości czystej a szlachetnej górę brało, tą miłością On, jak nasz mistrz nieśmiertelny z przed stulecia cierpiał za miljony, pragnąc ogrzać serca braci: tych maluczkich, tych bezdomnych, upośledzonych, by ich pobudzić do zaparcia się i poświęcenia dla świętej sprawy Ojczyzny"...

Sława te wypowiadają to, co każdy z nas żywo odczuwał i odczuwa przy obcowaniu z postaciami stworzonemi przez Żeromskiego. Jego kultem religijnym była czynna miłość, ale w sercu jego żyła i ta zdolność obcowania z Bogiem, która wypowiada się entuzjastycznem słowem modlitwy. W „Nawracaniu Judasza" jest jedno cudowne miejsce, gdy Nienaski idzie z bratem Tytusem w zimowy ranek zaśnieżonym lasem. „...Daleko, w błękitach, które opadały z wyżyn, stały kolosy gór, zasnute jasnym młodym śniegiem. Tytus zatrzymał się i długo patrzył na to nieporównane widziadło. Nienaski pozostał o parę kroków. Spoglądał na góry, lecz myślał nie o nich. Można powiedzieć, że myślał tym widokiem o zawikłaniu swego życia w życie świata. Co robi na tej ziemi? Czem tu jest w biegu rzeczy? — W tem starzec, stojąc w śniegu, osunął się w ten puch, jakby w nim usiadł. Nienaski dorozumiał się, że ukląkł. W ciszy słyszał jego mamrotanie, radosny, uniesiony szloch:

„Bądź błogosławiony za widok, za widok tej jutrzenki! Bądź błogosławiony za wzrok, niepojętą siłę, — za płuca do oddychania cudem powietrza, — za czystość Twojego ranka dla moich płuc! Dziękuję Ci, iż widzę, jak Twoje słońce wschodzi! O, Boże! Daj mi siłę w rękach, w nogach... Jeszcze, jeszcze! Nie daj mi stanąć! Niech wszystkie oczy ludzkie widzą Twe słońce, niech każde płuca oddychają czystością tego poranka. O, Boże!"

Ta modlitwa nie jest i nie może być li-tylko tworem intuicji artystycznej. Tu się czuje, że każde słowo tryska z serca pisarza, czuje się, że dusza brata Tytusa jest jednym z sobowtórów duszy w której się poczęła i zrodziła. Cudowną jest zaiste ta dusza twórcza, która staje się wodzem, aby przemawiać do samej siebie, przemienionej w prostego żołnierza, mającego umrzeć za wielką sprawę: „Twoja dola to konać za święte ideje, a konać bez ostatniej pociechy mężnego człowieka: — bez sławy. Ale ty nie dla sławy wyszedłeś! Posłałeś siebie sam, ażeby świat wbrew woli świata, wydrzeć z pod skinień berła nocy. Twoje zadanie to niweczyć przemoc człowieka nad człowiekiem, z pod męki ciał wydobyć ducha ludzkiego, osadzić śród ludzi miłość i prawo do szczęścia. Dlatego wyzwałeś na rękę łuk i koronę świata. Więc obok męczeńskiego twojego słupa dla tem większego urągowiska stawiają słupy-łotrów. Wyszedłeś w najciemniejszą, jesienną, noc, gdy huczał wicher i bił deszcz, a my wszyscy, dwudziestomiljonowy naród, spaliśmy w swych sypialniach, pokojach, izbach, poddaszach i norach podziemnych kamiennym snem niewolników. Wyszedłeś, jak przemytnik, obnażony do pasa. Na plecach dźwigałeś składowe części drukarni. Byłeś obładowany pismami, zwiastującemi wyzwolenie ciał i duchów. W lewej ręce trzymałeś żerdź, którą w ciemności szukałeś objeszczyka, strzegącego granic ziemi, — w prawej niosłeś rewolwer, gotowy do strzału. Tak przebywałeś graniczne rzeki. Szedłeś w kraj boso i krwiawiąc nogi. Tej nocy przyniesiona została Niepodległość do tego kraju nędzarzy ducha"... (Sen o szpadzie).

„Posłałeś siebie sam"... Wszystkie postaci Żeromskiego posyłają się same na walkę ze złem, na wyrzeczenie się szczęścia, na ofiarę dla innych, a kieruje niemi ta jedyna dobra wola Chrystusowa, z której rodzi się Królestwo Boże na tej ziemi. Bohaterowie Żeromskiego nie pokonywają nikogo prócz samych siebie. Nad ich zwycięstwami płacze serce oszukane o pragnienie szczęścia i cudowne obietnice radości, ale wszystko, co w duszy jest z Boga, co w niej jest wiekuistem i nieskalanem pięknem, cieszy się z tego zwycięstwa dobra nad złem, miłości nad sobkostwem. Od Judyma i Joasi z „Ludzi bezdomnych" aż po Przełęckiego w „Przepióreczce" wszystkie postaci Żeromskiego żyją dla ideału, dla jutra, dla tego wszystkiego, co jedynie godnem jest życia.

Nikt bodaj nie scharakteryzował Żeromskiego tak trafnie, jak Brzozowski: „Znamy świat do którego należy Reymont i Sieroszewski; świat Żeromskiego nie istnieje: istnieje tu dusza ludzka, usiłująca samą siebie wydźwignąć i zbawić, lub przynajmniej modląca się o zbawienie. Istnieje niezmiernie bogata, najbogatsza, w Polsce organizacja czuciowo-wzruszeniowa, usiłująca w życiu, jakie wyczuć może, odnaleźć siłę, zdolną uczynić życie polskie wartością pewną samej siebie. Świat Żeromskiego jest w tworzeniu, tak jak Polska. Żeromski dla nas dzisiaj jest czemś więcej, niż pisarzem, od którego oczekuje się książek; żąda się od niego wyzwalających wewnętrznych czynów. Na duszy jego zawisł cały świat dusz: ma on za nie odpowiedzialność... Żeromski to jest życie nasze własne, łączy nas z nim konieczność rozwiązania zagadnień, bez których rozwiązania żyć nie można, których wyrzekając się — żyć nie wolno... On nie odtwarza tego, co można dziś zobaczyć. On jest w tej dziedzinie, gdzie życie, nie związane niczem, samo w siebie wnika, zastanawia się, sądzi"... (Legenda młodej Polski).

Ten upór, dzięki któremu życie wbrew samemu sobie usiłuje być lepszem od siebie, jest odbiciem tego, co dusza ma w sobie z Boga. W postaciach Żeromskiego ten piękny upór jest zjawiskiem stałem. Któż nie zastanowił się nad tem, że taki naprzykład Judym sam jeden śród setek tysięcy ludzi czuje się odpowiedzialnym za kulturę ojczystą, za przyszłość i szczęście ludu. „Widzisz — powiada do Joasi — ja jestem z motłochu, z ostatniej hołoty. Ty nie możesz mieć wyobrażenia jaki jest motłoch. Nie możesz nawet objąć tego dalekiem przeczuciem, co leży w jego sercu. Jesteś z innej kasty... Kto sam z tego pochodzi, kto przeżył wszystko, wie wszystko... Tu ludzie w trzydziestym roku umierają, bo już są starcami. Dzieci ich — to idjoci..."

Za ich los, za ich lepsze, radośniejsze jutro, czuje się Judym odpowiedzialnym, ta odpowiedzialność zmusza go do wyrzeczenia się własnego szczęścia:

„Otrzymałem wszystko, co potrzeba... Muszę to oddać, com wziął. Ten dług przeklęty... Nie mogę mieć ani ojca, ani matki, ani żony, ani jednej rzeczy, którąbym przycisnął do serca z miłością, dopóki z oblicza ziemi nie znikną te podłe zmory. Muszę być sam jeden. Żeby obok mnie nikt nie był, nikt mnie nie trzymał".

Powiedział Chrystus, że niema służebnika nad pana, ani ucznia nad mistrza. Nie może serce dać z siebie czegoś, czego w niem niema. Jasne, piękne postaci Żeromskiego to stany jego własnej duszy, to pragnienia, aby na świecie zapanowały ideały głoszone przez Chrystusa. Nie powołuje się ten wielki Pisarz na ewangelję, ale cała praca jego będąca wyrazem bezbrzeżnej miłości przedewszystkiem dla tych, których Chrystus przed innymi wołał do siebie, jest jakby żarliwem słowem modlitwy: „Przyjdź królestwo Twoje"!

„Nawracanie Judasza" kończy się opowieścią o dziwnej radości brata klasztornego, który cieszy się, że „brat Daniel odszedł". Nienaski pyta:

„Odszedł"?

„Brat Daniel spoczął w Panu".

„Stąd taka uciecha?".

„Stąd uciecha między nami. Już jeden z pomiędzy nas spoczywa u nóg Chrystusa Pana, mówi za nas"...

Błogosławione jest odejście tych, którzy odchodząc budzą żal w sercu i zostawiają wielką pustkę po sobie, ale zarazem napełniają serca wiarą i miłością, że na tym świecie, gdzie tyle panoszy się zła i brzydoty, jaśnieją dusze dziwnie czyste i przepojone miłością piękna i dobra w człowieku. Istnienie i działanie na ziemi takich świetlanych dusz nie kończy się ze śmiercią ciała w którem przebywały. Pokolenia powracać będą do ksiąg, w których urzeczywistniły się w słowie wspaniałe sny o lepszym świecie i czerpać z nich będą siłę do walki ze złem, które ostatecznie zczeznąć musi.

Oby ta ogromna praca, wykonana przez wielkiego Pisarza, oby ta wielka miłość, która gorzała w jego sercu, zapalała nas ewangelików do wytężonej pracy w kierunku realizowania jego ideałów! Juz w chwili jego śmierci wypowiedzano się przeciwko niemu wrogo, jako przeciwko kalwinowi. W Ojczyźnie naszej jest mroczno i duszno... Dźwignijmy pochodnię ideału miłości ewangelicznej, wypadłej z dłoni wielkiego Pisarza i, jako współwyznawcy jego, trzymajmy ją wysoko, iżby rozświecała te mroki, z któremi On walczył przez całe życie!

STEFAN ŻEROMSKI.

WIESTKA NA PRZYMORZU.*)

(Fragment z „Międzymorza").

Onego czasu wyjeżdżali na połów z kaszubskiego osiedla dwaj bracia rodzeni, dwaj rybacy, do tego samego należący maszopstwa.

Mieli obadwaj mocne łodzie, uszczelnione pracowicie, z maszty, z żaglami, z kotwicą, we wszelki zaopatrzone przyrząd i statek.

Każda tedy z tych łodzi miała olinowanie należyte, ster czyli wojo, wiosła okute i nieokute paczyny, albo pojazdy, plichtę na przedzie, oporki i nożyce pałasz boczny i korczaki, czyli stągwie do wylewania wody.

Obadwaj maszopi mieli sieci głębokie i opławne na łososie, któremi się parali od marca do świętego Wojciecha i mieli skarpie niewody, które znowu ciskali od wiosennych roztopów aż po świętojańskie poranki.

Mieli glady i broniki dla płowu małej rybki tobijaszka, którą się wyrzuca na przynętę węgorza, — i mieli gęstookie sieci na śledzie, oraz niewody na węgorza, któremi zaciągali od Narodzenia Panny Marji aż do świętej Jadwigi.

Mieli także wszelkie wędy, czyli takle, do chwytania na przynętę wędrownego łososia, idącego w swoją drogę w stumetrowej głębinie.

Z tym to przyrządem puszczali się w słone morze i bystre jego szory.

Na rybitwę małomorską wychodzili z bodorem, którym wojowali węgorze od świętego Marcina aż do Gromnic.

Mieli konopne, gdańskie, wite niewody do łowitwy na łodziach z wyrzuceniem kotwicy.

Mieli mocne brodniki, a temi znowu wygarniali piskorze i wszelką inną słodkowodą rybę od świętego Wojciecha do Świątek i od Świątek po Dominika.

Mieli również waty na raki, a wiecierze na tłustą rybę, — dargi z mosiężnemi łańcuszki na czujnego szczupaka i zwykłe wędy na węgorze.

Snadniej pewniej było obydwu braciom Kąkolom, starszemu Józefowi z przezwiska Marycin, od imienia żony Maryki, — i młodszemu Janowi, z przydomkiem Litak, — wypadać w Małe Morze.

Zepchnąć jeno baty ze spychu i bieżeć w rodzonej fali, na oczach mając domostwo i noc pewną pod strzechą.

Skoro jednak wypadło bieżeć w Słowińskie na morską rybitwę, ciężką musieli pracę podejmować.

Nie dane im było posiadać zacisznej przystani, gdzieby w spokoju i bez wiatru można było przygotować wyprawę na ów połów godziwy.

Nie mieli miejsca ucieczki, gdy czarna burza spędzi rybaka z przestworu, a do ucieczki przynagli.

A nawet, plonem godziwym obarczeni, musieli ponad siły przy złym wietrze pracować, z tak daleka do dom wracając, gdyż trzeba było przecie Hel prawie cały z obu jego stron remami obciągnąć.

Wiatry morskie nimi, jako wola, rządziły, skoro się w dal wybierali, porówno ze swojakami z Jastarni, Boru, Kuźnicy i Chałup, — porówno ze wszystkimi tamtego brzegu, ze Swarzewa, z Osłanina, z Mrzezina, z Rewy, z Gnieździewa, z Oxywia; czy tam z Gdyni.

Tak to dnia jednego, w samym zaczątku jesieni, bracia Kąkolowie, starszy Józef, Marycin, i modszy, przezwiskiem Litak pociągneli na pojazd w tamto morze.

A wyruszyli zaś głęboko jeszcze nadedniem, o dobrze ciemnej nocy, gdy pochodnica zaranna sama jeno stała w niebiesiech, jako blask rozogniony.

Łagodna bryza zachodnia skrzydła płócienne wydymała, gdy za Borem białe, wysokie brzegi ledwie w mroku widoczne mijali.

Józef, jako należy starszemu i przedniemu w maszopstwie, jechał przodem w swej kwaczy, patrząc się wiernie na gwiazdę.

Jan ciągnął za nim posłusznie, w brózdę bratową, helmąt steru ledwie ledwie dotknięciem dłoni wprawiając.

Podobnie jako brat starszy, z gwiazdy pochodnicy spojrzenia nie zdejmował.

Pierwszy się oto brzask niecił za helskim staroborem, gdy dwie pomorzance kępę, głowę gołębia, półokręgiem dalekim na toni okrążały.

Na bystrz ciemną spłynął, przedświt niejasny a w serca braci rybaków niejasna spłynęła radość.

Obadwaj tam nieruchomi jednako, jakby z kamienia wykuci, szuty jeno swych płócien pociągając, aby się podmóchowi przeciwiły, dusze swe blaskiem niebiańskim poili.

Chwalili bezsłownem czuciem w pokorze prostych serc Pańskie poranne dzieło.

Gdy zaś wymijali boję, wiecznie wzdychającą na toni przy tamtym już brzegu, dzień był biały.

Daleko wysunąwszy się w łowiszcze, kędyś naprost Karwi, gdzie brzegów wcale już widać nie było, a głębia płytkiego morza schodziła do metrów trzydziestu, poczęli denne sieci wyrzucać.

Każdy z braci wymiatał sieć swoją, złożoną z matni i dwu krótkich skrzydeł, opatrzonych deskami, które służą do rozpięcia niewodu.

Do skrzydeł i do desek przywiązane mieli długie liny, których końce zostawały w każdej z dwu łodzi, idących pod żaglem.

Niewody, przez łodzie ciągnione, szły po dnie, zagarniając do matni plastugi, stornie, gladysy, a strasząc je pękami charszczu twardego przytwierdzonemi do liny.

Co pewien czas, to Józef, to Jan wyciągał do wnętrza łodzi swój niewód i wytrząsał z macicy połów dnia tego nad podziw ogromny.

Napełniły się storniami, gladysami, bańtkami dna pomeranków, a dusze rybaków radosne były od pracy i jej pomyślnego wyniku.

Południe przeminęło, — na tę porę strasznie skwarne, parne i duszne, płonące od słonecznych promieni.

Ledwie zaś przeminęło południe, wicher niespodziany skądś powiał.

Morze wzburzyło się nagle.

Fala zarywać się poczęła do topieli, a widnokrąg zawlókł się mrokiem, prawie nocnym.

Zdumieli się obaj rybacy i oczy przecierali, własnym nie wierząc spojrzeniom.

Stanęła przed ich źrenicami na zachodnim skłonie nieba i gnała ku nim właśnie trąbą czarna, ukręcona z powietrza i z wody. Zwara wodna poderwała się z miejsca niskiego, a wiatr lotem po drogach kołowych zawijał ją w lej, skaczący po morzu i trzepiący się w planach, jako ryba niezmierna.

Powietrze, rzutem z okolicy wyższego do niższego ciśnienia popchnięte, złączyło się z wirem wodnym, jakby go pocałunkiem poderwało do siebie.

*) Przedruk z upoważnienia nakładcy.

Słup czarny środkiem morza z zachodu ku wschodowi gnał, wirując.

Ponad tymto czarnym krążelem rozpostarła się potężna ciemna chmura, wylewająca strugi deszczu.

Wokół górnego łba potworu tłukły się masy porozdzieranych obłoków, pędząc od wnętrza wiru ku jego bokom wygiętym.

Zgasło do cna słońce w potopie ulewy.

Z dnia jasnego nagle ciemna noc się stała.

Błyskawice raz wraz rozpalały niezłomne ściany wieży lecącej, a grzmot rozbijał się w obrębie jej zakola.

Obaj bracia rybacy rzucili się do ucieczki.

Lecz w którękolwiek pomknęli stronę, wiosłami pracując, zawsze wirowy bieg wichury gnał ich ku środkowi zjawiska.

Stargane zostały płótna żagli.

Gdzieś się sieci podziały.

Wyrwały się z rąk i pognały w burzę remy wioseł.

Woda górna spadać poczęła w łódź każdą i napełniać ją sobą.

Rozradowały się ryby złowione pod nogami oszalałych rybaków.

Bałwany, kręgiem zwijające się po nad szkutą Józefa i po nad szkutą Janową, wałem syczącym wyniesione, grzywą wściekłej piany obrosłe, przybrały kształty potworów, które zdało się, z głębin morza wypadły.

Wirem gnało obiedwie łodzie, trzaskające się wzajem bokami.

Krzyk obydwu rybaków stał się obłąkany i głupi, gdy widzieli, iże giną.

Ale starszy wiekiem i w rzemiośle rybackiem zmacał i ujął przecie w sobie twarde męstwo.

Począł młodszemu rozkazywać.

Zakrzyknął. — wodę — korczakiem!

Rzucił się młodszy do korczaków i szufli wylewnych.

Oburącz począł wodę z łodzi nazewnątrz wymiatać.

Krzyże jego zginały się po tysiąc razy, szybciej niż biegnie słowo opisu, ręce w szaleństwie wylewały wodę z głębi.

Starszy czynił to samo w swojej łodzi.

Słychać było w ryku burzy sapanie obydwu i bezładne słowa modlitewnego skamłania.

Lecz mimo pracy tak wściekłej, iż zdolna była siłę burzy pokonać, widzieli obadwaj z przerażeniem, iż się łodzie zanurzają od wzrastającego ciężaru i że wody nie ubywa, lecz przybywa.

Zlani potem wewnętrznym, bardziej, niż potopem zewnętrznym ulewy, noc mieli w oczach, a w duszach szaleństwo.

Bose ich nogi ślizgały się w lepkiej masie ciał rybich, rojących się na dnie łodzi, aż się obaj raz za razem na wznak w wodę walili.

Podskoczyli tedy samowtór obiema stopami na burty.

Na nich stojąc, pracowali bez wytchnienia i aż do ostatniego oddechu.

Krzyk młodszego stawał się coraz częstszy, głośniejszy.

Starszy obejrzał się poza siebie i straszliwą rzecz zobaczył.

Łódź Jana była pełna wody, a on sam stał okrakiem na nadburciu, we wodzie, aż do kostek.

Burty kwaczy, raz bakortem, drugi raz sztymborkiem wynurzały się z piany, jakby jeszcze poratunku szukając.

Rudel pod ciężarem rybaka całkiem się w wodę zawalił.

Plichta statku stromo wylazła i,kołysząc się, stała nad falą.

Przelewy morza szły nad łodzią i między nogami rybaka.

I oto rozległ się krzyk: — bracie ratuj!

W czarnych bryłach wody Józef zobaczył młodszego, jako płynie ku niemu.

A sam stał po kolana w przewałach, a sam widział, że mu w łodzi już po nadburcia przybrało, a sam czuł, że mu siły w ramionach ubywa.

W ocemgnieniu zobaczył w głębi siebie twarze dzieci i oczy białki miłowanej.

W takiej oto złej minucie brat Jan skowyczeniem rozpaczy do jego burty się dorwał.

W takiej oto złej minucie koślawą lewą dłonią zgrzytał po niej pazurami.

Poczuł we wnętrznościach swej Józef zimne i jasne rozumienie, że skoro drugi człowiek do łodzi tej się wwali, nie strzyma statek zatopiony zdwojonego ciężaru i natychmiast na dno pójdzie.

I spokojny mu to rozmysł kazał zrobić, co się wykonaniem spełniło.

Józef schylił się nagłym ruchem, porwał za uchwat wiosła, co przy bakorcie leżało i pchnął niem w głowę Jana.

A potem widział jego ręce, to tam, to sam plaskające między piany, to w głębi, to wierzchem.

I chargot jego słyszał, to we wodzie, to nad wodą.

Raz jeszcze widział jego oczy wpatrzone.

Wtedy otwarła się chmura ponad burzy ośrodkiem i na mgnienie powieki ukazało się niebo.

Wiatr pchnął łódź w jakiś okręg odmienny i poniósł ją w białych pianach dziobem na dół, albo rufą w otchłani, z boku na bok ją magał w przepaściach.

Józef chwytał wodę czerpakiem, bez jednej chwili wytchnienia.

A gdy zdało mu się ukradkiem oczy podnieść za siebie, nie widział już leja wody.

Wiatr srogi dokądś go pędził.

Ani się spostrzegł spracowany, że, mimo ulewnego wciąż deszczu, wody mu w łodzi ubyło.

Gorąco wielkiego szczęścia wskroś ciało jego przejęło.

Wtedy rozejrzał, się po okręgach, na wszystkie strony wołając: — Litak! Litak!

Ale morze jeno zbieganie w odpowiedzi chlastało.

A nim wszystkę wodę z czółna zdołał wylać do kropli, dało mu się uczuć przyciszenie orkanu.

Czarny rdzeń burzy kędyś na wschód pocwałował.

Nadeszła wreszcie szczęśliwa minuta, iż Józef przysiadł na duchcie.

Pot otarł z czoła.

A choć przewał jeden po drugim miotał na wsze strony pławaczką, rybak nie mógł się z miejsca podźwignąć.

Nie mógł myśli swych ruszyć z tego miejsca na burcie, nie mógł oczu zepchnąć wolą z tego miejsca przy dulce, gdzie był widział skostniałą rękę Litaka.

Aż wreszcie runął na błotniste dno łodzi, twarzą między stornie i bańtki.

Długo tam nad nim wiatr huczał i ostra go fala zlewała.

Gdy się zaś porwał o jakiejś godzinie, posępny wieczór zapadał.

Widać było w pobliżu białe helskie wybrzeże.

Niemilknący nigdy głos boi, gwiździela morskiego, w oddali, w swojem miejscu narzekał.

Ach, któż wyrazić potrafi nieszczęście grzesznika, dźwigającego po falach uczynku wspomnienie.

Maszop ujął swe wiosło, ocalone z pogromu.

Patrzał na pióro pojazdy, którem między oczy Litaka uderzył.

Wymacał to miejsce na wiośle struchlałemi palcami.

Milczenie mu wiekuiste nakazał.

Ze wszej mocy ramienia bratobójczą pojazdą pracując, opłynął przylądek.

Zawrócił nos łodzi ku stronie rodzinnej.

Ujrzał wreszcie dziecińskie uśmiechy, białki oczy spłakane.

Matki oczy skostniałe, pytające się o tamtego.

Dał w załamane jej palce, w szale targające swe włosy, wiadomość złowrogą, iże orkan zatopił Litaka.

Zachował przed urzędem maszopskim spokojność i godność i zimno, dostojne oblicza, gdy, zataiwszy uczynek, wszystko na opak wykręcił.

Wzruszali się mężowie, mocy morza świadomi, słysząc, jako się z bratem obadwaj bronili, jako tamten, daleko wichrami porwany nie strzymał, a starszy nadaremnie go szukał w przepaściach.

Chwalili starszego Kąkola za pracę, za ofiarność, za spokój, za męstwo.

Wieść o nim poszła, od checzy do checzy, od sioła do sioła.

Trzecie morze łez wypłynęło, od tamtych nie mniejsze, ze starych oczu matczynych pod cerkwy drewnianym pułapem.

Tłukł się w ciągu dni i tygodni pogwarek o straszliwej niedoli Litaka.

A potem sprawy chorób i jadła zatatrały wspomnienie.

Nie zapomniało serce matki.

Nie zapomniało wnętrze brata.

Skoro Józef wybiegał na połów w Wielkie-li, w Małe—li morze, — daleko od brzegów odbijał.

Szukał po dnie poprzez wody, przepatrywał oczyma.

Przepatrywał fale przeczyste.

I ryczał w spienioną pustynię z głębi wnętrza, targanego od straszliwej męczarni: — Litak! Litak!

A nieraz, wstawszy w nocy, rzekomo do łodzi, na wywłoce spokojnie leżącej, rzekomo do sieci rozwieszonych na potyczach i sochach, brnął na duny dalekie, pustynne, na dzikie wybrzeże i wył w ciemne morze, aby ulżyć wewnętrznej boleści: — Litak! Litak!

Lecz na głos duszy wzywającej głos morza chrapliwie i z sykiem jednakiej zawdy odpowiedzi udzielał.

Na głos duszy wzywającej gwiździel jeno morski, pław żelazny, ze swego miejsca w oddali, głuchy jęk, niby śpiewkę wieczności odrzucał. Minęły dnie długie i leniwe tygodnie.

Gdy zaś na jesieni łososie podpłynęły do brzegu i cały lud rybacki wybiegał, aby maszopstwami, poporządku, a pod szypra komendą toń zajmować, Józef stanął wraz z innymi do pracy.

Zostawiwszy stułokciową linę na brzegu, wyjechał w wielkim bacie na morze, wyrzucił prawe skrzydło, macicę, lewe skrzydło niewodu.

Wrócił duchem do brzegu, drugą linę przywożąc.

Stanął sam i pierwszy szlę na ramię zarzucił, — za nim białka i dzieci, a nawet matka stara.

Idąc zaś wstecz, a powoli, idąc jedno za drugiem, spokojnie niewód ciągnęli.

Było bowiem ciężko w macicy i srodze się w niej godne ryby targały.

Radość opanowała rodzinę.

Skoro już gruba matnia wytoczyła się w strądy, ujrzeli, iż jest pełna nad podziw.

Lecz wnet radość powszechna w straszne przemieniła się czucie, gdy wśród wielkich łososi, skaczących w górę po piasku, ujrzeli nieruchomego Litaka.

Kałem morskim zwalany, a oblepiony kidzeną, z raną krwawą na czole leżał z rozkrzyżowanemi rękami.

Przyszedł oto nierychło na wołanie Józefa.

Z głębin morza dalekich, a z bełku przypadłego powrócił, żeby u stopy braterskiej jasne czoło położyć.

O niespodzianej godzinie.

* * *

Nie umiera nigdy zbrodnia, kiedykolwiek była dokonana, — przed tysiącoleciem, czyli dzisiaj nadedniem.

Przychodzi po tajemniczą zapłatę o niespodzianej godzinie, jako złodziej.

Lecz czyliż ma śmiertelny, — jako złodziej, — tylko na echo zbrodni, kiedykolwiek dokonanej, chciwego ucha nastawiać?

Czyliż ma słuchać tylko dzwonów, które biją z głębin morza, z miast do cna zatopionych?

Trzeba drugie ucho nastawić na głos dzwonów, bijący z wieży nowej, ze świątyni przyszłości.

Bo jak w amarantowym kwiecie pelargonji trwa nieprzerwany upał, ruch, pęd, rozwój i życie, a naszym oczom ukazuje się tylko niemy i zastygły stan kwitnienia, taksamo winno być ze stanem wewnętrznym i z formą zewnętrzną człowieka.

Cierpienie i roskosz wewnątrz być winny.

Nazewnątrz winien być stan nieodmienny uśmiechu.

O, święty, o, boski dzwonie nowy!

W każdym twoim dźwięku jest więcej, niż było w najbujniejszem marzeniu lat młodych, w najpotężniejszym lat męskich zamachu!

Jaka w tobie siła, jaka moc, jaka w tobie potęga!

Prasa nad trumną Żeromskiego.

Śmierć Stefana Żeromskiego wstrząsnęła do głębi społeczeństwem. Znamiennym objawem jest ton artykułów żałobnych. Żaden z pisarzy ostatniej doby nie stał tak blisko życia narodu i żadnego literatura i publicystyka nie wspominała z takim żalem. Notujemy poniżej głosy najważniejsze i najistotniejsze.

„Nowości literackie“ w Nr. 48 piszą:

„Aż dziw, że ze śmiercią jednego człowieka mogło się w Polsce nagle stać tak ciężko i ciemno. Umarł największy bodaj pisarz współczesnej Europy.

Miłość do narodu i do człowieka, żarliwa i nieustraszona, tchnęła z Jego dzieł wichrem, owiewającym nasze skronie, jak pierwsze gorące podmuchy przedwiośnia. Serce Jego biło na alarm, jak dzwon świątyni, i pękło w chwili, gdy niebo zaczyna goreć czerwienią rosnącej pożogi.

Był to ktoś wielki, ostatni z rodu wieszczów, i niema dziś rąk, któreby sięgnąć mogły po osierocone insygnia Jego władzy.

Twórczość Żeromskiego była bowiem ciągle współczesna, szła troskliwie przed narodem, kierowała naszemi krokami jak drżąca igła magnetyczna, nieomylnie zwrócona ku zorzom polarnym.

Mgły, które zaciemniają kontury rzeczywistości i kryją ścieżki naszego życia, On jeden umiał namiętnym podmuchem swego wiecznie młodego słowa rozwiewać, ukazując nam najtrudniejsze, ale i najszlachetniejsze drogi.

Cały naród powinien odczuć tę śmierć jako bolesną utratę najcenniejszego skarbu.

Polska w ten jeden ranek listopadowy zubożała i przygasła jak dom ubogi, z którego anioł śmierci wyniósł płonące łuczywo“.

A znakomity powieściopisarz — Wacław Sieroszewski snuje w „Świecie“ pasmo wspomnień o swym zmarłym przyjacielu, i tak je kończy:

„Teraz zgasły te oczy, z zadumą i tęsknotą wpatrzone w bezkresną dal, dokąd niesie Ojczyznę naszą tajemniczy nurt historji świata.

— Zazdroszczę Ci zdrowia, które pozwoliło ci oglądać ludzkość!! — powiedział mi raz. — Ja widzę ją tylko przez kryształ polskości!...

— Moje oczy również są tylko polskie, a przyzwyczajenie do obcych mórz, puszcz, stepów i gór, do odmiennych dusz i zwyczajów, do cudzych języków pozbawiły mię zdolności widzenia nieraz tych cudów w pobliżu, które Ty szczęśliwie spostrzegasz!...

Taki był nasz stosunek w dziedzinie pracy, związanej z naszym zawodem.

Byliśmy przyjaciółmi w czasach, kiedy bieda i prześladowania obcych rządów były udziałem polskiego literata. Dom Żeromskich na ulicy Żabiej Nr. 4, był wtedy ogniskiem, gdzie gromadziła się młódź pisarska, gdzie przychodzili koryfeusze literatury, aby zetknąć się z początkującemi talentami, gdzie znajdowali nieraz schronisko i opiekę ci „bezdomni“, którzy dziś stoją u szczytu Państwa...

W owe czasy tam były szczyty polskiego idealizmu...

Krytyk i estetа — p. Zdzisław Dębicki w „Kurjerze Warszawskim“ Nr. 325 — pisze:

„Żeromskiemu, jako pisarzowi, zarzucano nieraz, że nie liczy się z nerwami swojego społeczeństwa, że znęca się nad niem, ukazując mu rzeczy zbyt bolesne, otwierając przed niem rany zbyt krwawiące.

Tak było istotnie, ale tak być musiało, bo ktoś jeden musiał wziąć na siebie obowiązek wypowiedzenia całej prawdy, ktoś musiał krzykiem bólu przemówić, całą nędzę i całe upokorzenie niewoli narodowi ukazać, aby spostrzegł, że stoi nad przepaścią, ku której wrębom pchają go wrogowie z jednej strony, a wtrąca własny bezwład — z drugiej. Autor „Urody życia“ i „Wiernej rzeki“ otwierał na to oczy narkotyzującemu się złudzeniami i uciekającemu od rzeczywistości, gubiącemu jej poczucie, społeczeństwu.

Rozkrwawiał rany już zabliźnione, to prawda, ale sam przytem wył z bólu. Czynił to jednak nie z innych pobudek, tylko z nadmiaru tej miłości, która „kocha i cierpi za miljony“, a która nie pozwala wybranym jednostkom zasklepić się w egoistycznem życiu, zamknąć w niedostępnej muszli swojego „ja“ artystycznego.

Idea społeczna rozpalała się w nim czasem aż do białości fanatyzmu, co czynić mogło pozór, że schodzi on na bezdroża. Kto jednak znał jego wyjątkowo czystą i prawą duszę, ten mu ufał, bo wiedział, że dusza ta ma twardy i nieugięty pion, któremu na imię dobro ojczyzny i dobro narodu.

W zacisznych zamkowych komnatach — zrządzeniem tego losu, który jakby mu chciał odpłacić w ostatniej chwili za wszystko zło — stoi dzisiaj jego królewska trumna, spowita w żałobę narodu, zarzucona kwiatami pamięci, wznosząca się powagą majestatu śmierci ponad zamęt i rozterkę chwili i uciszająca jej wzburzone namiętności.

Mówi ona, że niema już Stefana Żeromskiego wśród żywych, że odszedł od nas krokiem niedosłyszalnym w wieczność wielki pisarz, chwała naszej ziemi i chwała naszego narodu, duma Polski i jej najwrażliwsze, na wszystko czułe s u m i e n i e.

Twórcze jego dzieło już jest skończone.

Słowo jego już jest wypowiedziane. Nie usłyszymy z ust jego niczego więcej“.

W „Kurjerze Porannym“ (Nr. 322) Boy-Żeleński, tak charakteryzuje zmarłego pisarza i jego pracę:

„Nigdy nie skostniał, nigdy nie zakrzepł w dostojeństwie i sławie, pozostał młody, wrażliwy na wszystko co młode, co kiełkuje w tem naszem przedwiośniu. Każda wspólna praca znajdowała w nim oddźwięk; jakakolwiek się lęgła inicjatywa, można było być pewnym, że Żeromski jest przy jej narodzinach. Tak przywykliśmy w każdej chwili oglądać się w stronę Żeromskiego, tak przywykliśmy, że on jest sercem, myślą, sumieniem narodu, iż śmierć jego — to na żywem ciele rana, która niełatwo się zabliźni. Trawa zarasta wszystkie groby, i życie zwycięża wszystko, nurt jego płynie dalej; ale na całym obszarze Polski niema nikogo, ktoby mógł zająć miejsce osierocone przez Żeromskiego. On był j e d y n y i — w pewnym sensie — ostatni“.

A w socjalistycznem piśmie „Robotnik“ — Henryk Bezmaski, taki Żeromskiemu hołd składa:

„Zostaniesz obok Mickiewicza, Słowackiego, obok Konopnickiej i Orzeszkowej, nie tylko jednym z największych artystów polskich, rzeźbiarzem słowa, muzykiem najtkliwszego liryzmu—ale... człowiekiem czynu, największego, jaki może być dany człowiekowi, człowiekiem walki o najwyższe dobra człowieka na ziemi: o wolność, o dom ojczysty, o sprawiedliwość, o pokój między ludźmi. Kładziemy na mogile Twojej nasz sztandar, krwią Cedrów i Judymów i Bandosów zbroczony. Kładziemy wraz serca nasze, pełne wdzięczności najgłębszej i żalu niczem niezaspokojonego“.

* * *

Do tych pięknych, rzewnych a wzniosłych harmonijnych tonów prasy różnych odcieni i kierunków w obliczu majestatu śmierci mocarza słowa St. Żeromskiego — dołączyły się, jakby fałszywe zgrzyty, głosy niektórych krytyków i dziennikarzy, którzy nie potrafili zachować taktu i powagi przy trumnie. Szczególnie nie możemy pominąć milczeniem artykułu p. Adolfa Neuverta-Nowaczyńskiego, który Kościołowi kalwińskiemu niejedno zawdzięcza; gdy zwłoki wielkiego pisarza miały być pochowane na cmentarzu kalwińskim, tak oto się uwywnętrznia:

„Ze zamku będą Go prowadzili, ale gdzie Go pogrzebią? gdzie Go pogrzebią?

Na kalwińskim cmentarzu Stefan Żeromski leżeć nie może, gdyż z kalwinizmem duchowo nic nie miał wspólnego. Ród Żeromskich, który w XVII wydał kilka niepospolitych postaci, nie należał nigdy do szlachty kalwińskiej, a wprost przeciwnie

miał nawet bojowców ortodoksji. Ostatni z Żeromskich, jeden z ostatnich hetmanów piśmiennictwa polskiego na wyznanie kalwińskie przeszedł, to prawda, formalnie a raczej formalistycznie, z duchową treścią wyznania kalwińskiego nic go nie łączyło ani wiązało. W tym wypadku więc, przy tym splocie okoliczności trzebaby znaleść jakieś wyjście z zawikłanej sytuacji i uzyskać może u władz kościelnych wyjątkowy consensus na pochowanie Go tymczasowo na cmentarzu katolickim, zanim zadecyduje się, gdzie definitywnie spocznie jeden z najzasłużeńszych, najrdzenniej polskich pisarzy.

Jest bowiem nie do pomyślenia ta ewentualność, że twórca „Popiołów" miałby na wieczne czasy spocząć przy całkiem duchowo mu obcych, których religijnemu wyznaniu jego umysł, tak wszechstronnie wszystkiemi zagadnieniami się zajmujący, nigdy jednej myśli, jednego zdania nie poświęcił. Jest nie do pomyślenia, skoro jeszcze się przypomni, że wyznanie wiary kalwińskiej (zresztą pod każdym względem wzniosłe i szacunku godne), związane jest atoli mocno z psychiką i ideologją rasową germańską, a zgasły tak przedwcześnie, tak okrutnie przedwcześnie pisarz tej psychiki i ideologji był zaprzeczeniem, był uczuciowo, ideowo i rasowo przeciwstawieniem.

Ocenę i scharakteryzowanie podobnego wystąpienia p. Adolfa Neuwerta-Nowaczyńskiego pozostawiamy czytelnikom.

Powyżej wymienionemu panu towarzyszył nietakt jego kompartyjnika — p. Stanisława Grabskiego, ministra wyznań relig. i ośw. publ. O tem referuje „Głos Prawdy" w Nr. 116, jak następuje:

„Pan minister Wyznań Rel. i Oświecenia Publicznego Stanisław Grabski, profesor Uniwersytetu, usiłował sprzeciwić się temu, żeby pogrzebem Żeromskiego zajęło się państwo i żeby pogrzebowi Wielkiego Pisarza nadać charakter uroczystości państwowej. Delegacji Związków Literackich, w tej sprawie przybyłej do niego, wręcz odmówił, motywując odmowę tem, że Żeromski był... kalwinem. Argument godny analfabety. Pan minister Grabski najwidoczniej zapomniał, że jest ministrem Rzeczypospolitej, a nie ministrem-rezydentem kardynała Kakowskiego. Delegacja nie poprzestała oczywiście na tej odmowie p. ministra, znamionującej wyraźnie zamroczenie jego władz intelektualnych i moralnych, ale udała się do p. premjera Skrzyńskiego. I tu jednak p. Grabski nie dał za wygraną. W sposób, mówiąc najdelikatniej, żakowski i zgoła niepoważny usiłował niedopuścić przed oblicze p. Skrzyńskiego panów Sieroszewskiego, Staffa i Kaden-Bandrowskiego. To oczywiście nie udało mu się i naraziło tylko na przykry, publiczny afront ze strony p. Sieroszewskiego: wielki pisarz odmówił podania ręki p. Grabskiemu. Bezpośrednim skutkiem interwencji u p. Skrzyńskiego było, oprócz spełnienia oczywiście postulatów delegacji, udekorowanie zwłok Żeromskiego wielką wstęgą orderu Polonia Restituta nie, jak poprzednio projektowano przez dyr. Dep. Sztuki p. Skotnickiego, ale przez samego p. min. Grabskiego. Nie wiemy, jakiemi argumentami p. premjer Skrzyński skłonił p. Grabskiego do zmiany stanowiska, dość, że p. Grabski również imieniem Rządu odczytał nad trumną Żeromskiego na dziedzińcu zamkowym mowę pożegnalną. W ten sposób musiał on dezawuować swoje niepoczytalne wybryki sobotnie. Nie zmienia to jednak w niczem istoty rzeczy. W każdem impulsywniejszem nieco i wrażliwszem niż nasze społeczeństwie p. Grabski nie mógłby ani dnia dłużej po najbliższem posiedzeniu sejmowem sprawować urzędu odpowiedzialnego kierownika wyznań religijnych i oświecenia publicznego. Swojemi kołtuńskiemi fanaberjami skompromitował się doszczętnie jako minister obydwóch tych resortów. Trudno nawet orzec, czy większa była kompromitacja ministra wyznań czy ministra oświaty. Ale nie łudźmy się. Przy wielkich koalicjach i kluczu partyjnym najnieprawdopodobniejsze kołtuństwo i najbardziej nieprzytomne chamstwo rozwalać się może na ministerjalnych fotelach, byle tylko było wyrazem arytmetycznych proporcyj sił partyjnych".

Tak w wolnej ale klerowi rzymskiemu ulegającej Polsce do takich dziwolągów zaczyna dochodzić.

Ale co się dziwić jednostkom, które tak postępują bądź to za pieniądze — jako najemnicy pióra, lub jako wysłannicy tej lub owej partji, przenoszącej swoje interesy nad interesy Polski, skoro nawet przedstawiciele najwyższej inteligencji — literatów w tak poważnym i uroczystym momencie żałobnym nie umieli wytłumaczyć sobie, że zwłoki Żeromskiego jako członka Kościoła kalwińskiego, jedynie przez duchowieństwo tegoż wyznania na cmentarz kalwiński odprowadzone być muszą, a kler rzymsko-katolicki tylko, jako prywatny uczestnik konduktu i uroczystości pogrzebowych mógł być tylko obecny. Tak wielu księży katolickich rozumiało swe obowiązki i odprowadziło zmarłego pisarza na miejsce wiecznego spoczynku. Tylko Komitet pogrzebowy, składający się przeważnie z literatów tego zrozumieć nie mógł. Tak o tem pisze „Głos Prawdy" w Nr. 116:

Delegacja, która udała się do kardynała Kakowskiego, żeby zaprosić go na pogrzeb Żeromskiego, nie została nawet przyjęta. Ks. kardynał o pogrzebie mówić nawet nie chciał. To też w orszaku pogrzebowym, w którym wziął udział p. Prezydent Rzeczypospolitej i Rząd in corpore, senat, i sejm i wszystkie poważniejsze instytucje społeczne i kulturalne, wreszcie tłumnie młodzież szkolna, wojsko i t. d. duchowieństwo rzymsko-katolickie świeciło absencją. Duchowieństwo rzymsko-katolickie rości sobie pretensje, jako duchowieństwo najliczniejszego u nas wyznania, do reprezentowania całej Polski. Arcybiskup gnieźnieńsko-poznański nosi dziś jeszcze tytuł prymasa a pono po różnych głowach plączą się jeszcze marzenia o interrexach. Oficjalną absencją swoją w pogrzebie Żeromskiego władze kościelne same stwierdzają, że nie są zdolne do zlania się w jedno z narodem w jego najświętszych uczuciach przy prochach jednego z największych jego synów i wodzów. W ten sposób kopią same przepaść między sobą a społeczeństwem. Dla dogodzenia ślepemu i bezmyślnemu fanatyzmowi same podcinają więzy, łączące je z rzeszami wiernych. Dziwna krótkowzroczność i tępota myśli!

Delegacja pozostała zatem za drzwiami biskupiemi. Z jakiem niesmakiem wracała do domu? — Może ją to nareszcie trochę otrzeźwi i przypomni sobie słowa Goszczyńskiego, że dobry katolik — nie zawsze jest dobrym Polakiem.

* *

Szczerym w swoistem znaczeniu tego wyrazu jest „Przegląd katolicki" (Nr. 47). W myśl przysłowia łacińskiego „de mortuis aut bene aut nihil", nie mogąc się pogodzić z myślą, że tak wielki Polak pogardził rzymskim kościołem i został kalwinistą, nie stosując się do przez siebie przytoczonego przysłowia, syczy wprost ze złości nad trumną wielkiego pisarza. Pochwala ten organ półoficjalny kurji biskupiej nietakt pospolity p. ministra S. Grabskiego z powodu pogrzebu Żeromskiego — kalwina na koszt państwa. Wobec tego, że co drugie — trzecie zdanie autor artykułu — X. S. M(ystkowski) rzuca obelgi i potwarze na leżącego już w grobie, ś. p. Stefana Żeromskiego i jego zasługi, cytat dosłownych dla niesplamienia niniejszego numeru „Gł. Ew." przytaczać nie będziemy.

X. G.

Refleksje.

(Święto „Nieznanego Żołnierza. Minister Wyznań Religijnych, p. St. Grabski. Duch Skargi).

Katolicka „Gazeta Kościelna" cytuje głosy prasy ewangelickiej z jednej strony, a z drugiej wywody ks. Mirka z „Głosu Pomorskiego", znane czytelnikom naszym, w sprawie uroczystości ku czci nieznanego żołnierza, i czyni z tego powodu uwagę, że z tego widać, „jak dbałość o wyznaniowe prestige w państwie powinna być rozumna, bo w przeciwnym razie ośmiesza". Nam się jednak wydaje, że tu nie o śmieszność chodzi, lecz o rzeczy, dla państwa wielce doniosłe.

Zaczyna wyprzedzać nas Turcja. Oto w numerze 312 „Kurjera Warszawskiego" z dnia 8 listopada r. b., w arcyciekawym liście Turka, Wassan-Ghirey Djabagui'a, czytamy, że młoda republika turecka odniosła w ostatnich czasach wielkie moralne zwycięstwo, dzięki stałym usiłowaniom modernizacji wszystkch stron życia. Zwycięstwem tem jest odrzucenie przez Ormian i Żydów tureckich służących im na podstawie artykułu 42 traktatu lozańskiego praw mniejszości narodowych. Tak jedni jak i drudzy zawiadomili ministerjum spraw zagranicznych w Angorze, że uważają siebie za Turków i żadnego odrębnego traktowania sobie nie życzą. W ten sposób Ormianie i Żydzi dali wyraz przekonaniu, że Turcja nowoczesna nie ustanie w swych wysiłkach w doprowadzeniu kraju do postępu i że pod rządami nowego regime'u żadnych krzywd im dziać się nie będzie.

Wielki Rabin turecki zarządził, w związku z nowem położeniem żydów w Turcji, aby duchowieństwo żydowskie podlegało tym samym przepisom w sprawie noszenia ubiorów, co i duchowieństwo muzułmańskie i ażeby

rabini nie nosili swoich strojów religijnych poza urzędowaniem.

Obecnie Turcja nie posiada już, pod względem prawnym, żadnych mniejszości w kraju, prócz Greków, których zostało tu zaledwie kilkaset tysięcy, mieszkających wyłącznie w obrębie Konstantynopola i jego okolic.

Polska zaś posiada mniejszości pod względem prawnym i pod względem bezprawnym, i stara się o to, aby te mniejszości powiększały się i często robiły użytek z przysługujących im na podstawie traktatów praw mniejszości, t. j. praw zanoszenia skarg na forum międzynarodowe.

* * *

Święto Nieznanego Żołnierza dawało przepiękną sposobność do tego, aby zademonstrować tolerancję, o której tyle się na forum międzynarodowem mówiło. Ale tolerancja jest potrzebna na eksport. Wewnątrz kraju jest „naczelne stanowisko" katolicyzmu. Równouprawnienie innych wyznań zaś pozostaje na papierze, w konstytucji. Święto Nieznanego Żołnierza obchodzono w sposób taki, jak gdyby wojna 1919 i 1920 roku była wojną katolicko-ukraińską albo katolicko-rosyjską. A przecież wiadomo o tem, że 33% obywateli polskich nie czuje się katolikami. Część ich nie należy również do narodowości polskiej. Czy więc o to chodziło, aby mniejszości pod względem prawnym nie radowały się ze swych praw, zagwarantowanych traktatem wersalskim i konstytucją? O to, aby żadna z tych mniejszości nie poszła za przykładem Ormian i Żydów w Turcji? Święto, zakończone pod arkadami pałacu na placu Saskim, nie popchnie naszych mniejszości do tego, aby oświadczyły: jesteśmy Polakami! zrzekamy się praw mniejszości! Ale są snać ludzie, którzy nigdy nie zrozumieją, jak szkodliwą jest dla polskości maksyma, głosząca, że Polak musi być katolikiem.

Wyznaje ją również twórca konkordatu, minister Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, p. Stanisław Grabski, który przyczynił się też w znacznej mierze do nadania świętu dn. 2 listopoda takiego właśnie charakteru wyznaniowego. Minister tego resortu powinienby myśleć o zapewnieniu obywatelom wszystkich wyznań należnych im praw w dziedzinie religji i szkolnictwa. Ale to może tylko minister stojący na platformie bezpartyjnej. Inaczej p. S. Grabski. Aby nie pozostawić nikomu pod tym względem złudzeń, p. Grabski wygłosił dn. 8 listopada odczyt po tytułem „Po konkordacie", a wygłosił go w gronie takich słuchaczów, jacy zebrać się mogą w lokalu Towarzystwa im. Piotra Skargi. Piotr Skarga liczy w Polsce obecnie zastępy zwolenników z dniem każdym liczniejsze, ale naśladują oni jego nie w żarliwości o dobro Rzeczypospolitej, lecz w nienawiści do „heretyków". Chętnie będą słuchali, o „trzeciej chorobie Rzeczypospolitej, którą jest naruszenie religji katolickiej przez zarazę heretycką", albo „jako katolicka wiara policyi i królestw szczęśliwie dochowywa, a heretyctwo je obala". Ale brak dziś ludzi, którzyby chcieli wsłuchać się w to, co Skarga mówi „o pierwszej chorobie Rzeczypospolitej, która jest z nieżyczliwości ku ojczyźnie", albo o drugiej, „która jest z niezgody domowej". Inne jeszcze choroby społeczne piętnuje Skarga, a między niemi i tę, „która jest z osłabienia królewskiej dostojności i władzy", i tę, „która jest dla grzechów jawnych i niekarności ich". Komu z tem wygodniej, ten przechodzi do porządku nad naukami Skargi, mającemi walor wieczysty, których słuchać nie miło, gdyż domagają się one od nas surowego spełniania powszednich obowiązków w szare, robocze dni. Ale są też słowa tego gorącego patrjoty, nad któremi historja wypowiedziała swój sąd. Wbrew Skardze państwo nowożytne stać może tolerancją. Jednostronni, zaślepieni, zwolennicy Skargi nad „poskromnieniem heretyków" się głowiąc, nie przysłużą się Rzeczypospolitej.

P. S. Francuz, ks. Bourgeois, członek T-wa Jezusowego, po przyjęciu obrządku wschodnio-słowiańskiego, pracuje od roku na wschodnich kresach Polski, w Albertynowie pod Słonimem. Superiorem Misji Wschodniej w tej miejscowości jest również Jezuita, ks. Wlod. Piątkowski. — We wsi Jeziorze odbyło się dn. 18.X. poświecenie pierwszego katolickiego kościoła wschodniego obrządku na Wołyniu.

* * *

Przedstawiciele literatury interwenjują u premjera.

P. St. Grabski ubliża czci Żeromskiego.

Pod powyższym tytułem „Przegląd Wieczorny" z dn. 21.XI pisze:

„Dziś przed południem zjawiła się u premjera Skrzyńskiego delegacja Związku literatów w osobach: Sieroszewskiego, Kaden-Bandrowskiego i Staffa z prośbą o interwencję w sprawie urządzenia pogrzebu Stefana Żeromskiego przez Państwo. Delegacja była poprzednio w tej sprawie u min. oświaty, p. St. Grabskiego i tu spotkała się z budzącem grozę oświadczeniem, że pogrzebu Żeromskiego, „kalwina i pisarza, psującego młodzież", nie może urządzać państwo, co najwyżej zapłacić firmie pogrzebowej koszta pogrzebu.

Premjer Skrzyński przyrzekł delegacji, że sprawą tą zajmie się bezpośrednio".

Forma tej wiadomości — drastyczna, treść — niestety — prawdziwa. P. St. Grabski zaczyna się na dobre dyskredytować. Zaznaczyć musimy, że mimo protestu p. St. Grabski nad trumną ś. p. St. Żeromskiego przemawiał.

* * *

Pisząc o „soborze akatolików" w Sztokholmie, katolicka „Gazeta Kościelna" kończy relację swoją wnioskiem, że jedynym rezultatem jego „było ujawnienie tęsknoty za powszechnością Kościoła". Musimy ze swej strony zaznaczyć, że reprezentowane w Sztokholmie kościoły ewangelickie nie zaznały w niczem dążności do unji, lecz raczej do współdziałania kościołów. Nie wyniknie z tego żadna konfederacja. Naszem zdaniem, komitet wykonawczy, wyłoniony przez sobór, a składający się z 67 osób, ma zadanie bardzo wdzięczne, skoro powierzono mu misję podjęcia badań socjalnych. Konfederacja w Sztokholmie postawiła w należytem oświetleniu wielką kwestję, o której chrześcijaństwo dotychczas myślało istotnie zbyt mało. Kwestją tą jest podporządkowanie życia społecznego i międzynarodowego pod panowanie etosu chrześcijańskiego. Uczestnicy kongresu żywią nadzieję, że jest to początek, z którego rozwinie się z biegiem czasu dzieło dla rozwoju prawdziwej chrześcijańskiej kultury doniosłe. Dla tego też niejeden z członków kongresu, jak np. prof. Deissmann, wyznaje, że kongres stanowił w jego życiu szczyt przeżyć oraz kolminacyjny punkt w dziejach chrześcijańskich doby obecnej.

* * *

Pewien organ prasowy kościoła rz.-katolickiego informuje swych czytelników o walce wyznawców kościoła narodowego ze zwolennikami kościoła niezależnego. Jak to zwykle bywa w takich razach, powaśnieni nie przebierają w doborze epitetów. Z jednej strony padają pod adresem przeciwników słowa:

„Niezależne nieuki bez powołania, bez wiedzy, ale ot tak za 25 dolarów, albo 50 dolarów, otrzymując od włoskich, francuskich i polskich wagabundów niby święcenia, to jest patent na ogłupianie, zdzieranie i demoralizowanie ludu i zdaje im się, że mogą szaleć bezkarnie".

Druga strona odcina się znowu:

„Ty łotrze, bluźnierco! ty grobie pobielany! Przestań odnosić się do niezależnych. Oddaj, coś zabrał... Na 3 i 5 miljonów dolarów rachujesz zyski! Jest w tych miljonach i moja krzywda... Niezależnych upomina, ten wyrzutek niezależnych. Do wiary niezależnych apeluje, ów żadnej wiary nie mający łotr!"

Tenże organ biada z powodu rzekomego ośmieszania kleru katolickiego na scenie teatrów miejskich w Warszawie. Przy wystawieniu sztuki p. t. „Mój proboszcz wśród bogaczy" przedstawiono proboszcza zbyt groteskowo, a w sztuce Szekspira p. t. „Jak się wam podoba" dano kary-

katurę księdza bez odpowiedniej wskazówki autora, przywiązując mu np. butelkę wódki do pasa obok różańca, każąc mu parodjować odmawianie brewjarza i t. d. Wspomniane pismo zwraca się z wezwaniem do literatów polskich: „Najwyższy czas, ażeby literaci polscy — czysto polscy — zrozumieli, że wybiła godzina, że naprzeciw barykad literackich należy sypać okopy świętej Trójcy".

R.

Z Towarzystwa Polskiej Młodzieży Ewangelickiej.

Wydział Zebrań Towarzyskich zawiadamia, że w niedzielę dn. 6-go grudnia o godz. 20-ej w Sali Konfirmacyjnej wyświetlany będzie obraz pod tytułem „Ta, która nie tańczy".

Wiadomości z kościoła i ze świata.

Z KONSYSTORZA.

Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego dnia 27 października r. b. za Nr. 7544 podało do wiadomości Konsystorza, że Ministerstwo Spraw Wewnętrznych (Generalna Dyrekcja Służby Zdrowia) zwróciło się do niego z prośbą o przypomnienie duchowieństwu wszystkich wyznań treści rozporządzenia Ministerstwa Zdrowia Publicznego w sprawie przewozu i okshumacji zwłok (Dz. Ust. R. P. Nr. 42/1920 p. 257), a w szczególności prezpisów zawartych: 1) W par. 1 „Zwłoki osób zmarłych powinny być pochowane na najbliższym cmentarzu tej parafji lub gminy, gdzie śmierć nastąpiła; na przewiezienie zwłok celem pochowania ich w innem miejscu potrzebne jest pisemne zezwolenie właściwej władzy, jednak może być dokonane tylko w porze chłodnej (pomiędzy 16 październikiem a 15 kwietnia..."). Z tego p. wynika, że przełożony cmentarza nie ma prawa przyjąć zwłok z poza obrębu parafji lub właściwej gminy bez zezwolenia właściwego starosty.

2) W par. 6. „Po przyjściu zwłok do stacji odbiorczej na cmentarz przeznaczenia władza administracyjna w osobie delegowanego urzędnika lub funkcjonarjusza policji stwierdza na miejscu całość pieczęci, odbiera pozwolenie i przestrzega, aby zwłoki bez otwierania trumien były bezwłocznie pochowane". Wynika stąd, że żaden duchowny nie ma prawa pochować przewiezionych z poza parafji lub gminy zwłok, dopóki właściwa władza nie stwierdzi całości trumien, paki i pieczęci.

3) W par. 9. „...Ekshumacja... musi odbyć się przy zachowaniu następujących przepisów: a) obowiązkowa obecność właściwego lekarza powiatowego, b) czynność odbywać się powinna w porze chładnej, o ile można wczesnym rankiem, c) uczestniczyć w niej mogą tylko osoby urzędowe i bezpośrednio interesowane...". To znaczy, że dozór cmentarny nie ma prawa pozwolić na ekshumację bez zachowania tych przepisów i innych, mających charakter wyłącznie sanitarny. Pozatem p. 10 zabrania ekshumacji z grobów zbiorowych.

O powyższem Konsystorz komunikuje Przewielebnym i Wielebnym Księżom do zastosowania się i odpowiednich zarządzeń.

Przy rewizji ksiąg stanu cywilnego okazuje się że Księża Pastorowie, przenosząc się do innych parafji czy na mocy wyborów, czy też na mocy rozporządzenia Konsystorza, w wielu razach pozostawiają księgi stanu cywilnego nieuporządkowane, akta w nich nie są zapisane i przez pastora niepodpisane, brak dowodów i t. p.

Wskutek tego Konsystorz przypomina i poleca Księżom, żeby przed opuszczeniem parafji uporządkowali wszelkie akta stanu cywilnego, zapisali do ksiąg i podpisali, uporządkowali dowody ślubne i wogóle załatwili wszelkie czynności, związane z urzędem stanu cywilnego.

KRAKÓW. (Wybór pastora).

Dnia 29 listopada ub. m, w I niedzielę adwentu zbór krakowski przy udziale 65 członków uprawnionych (z liczby 120), pod przewodnictwem ks. Karola Michejdy, jednomyślnie, wszystkiemi głosami, wikarego ks. Wiktora Niemczyka obrał swoim pasterzem. Ks. Niemczyk, urodził się w Bystrzycy na Śląsku Cieszyńskim, ukończył studja na Ewangelickim Wydziale teologicznym Uniwersytetu Warszawskiego, a z przerwami już od lata 1924 r. pracował w Krakowie. Ślemy mu serdeczne: Szczęść Boże!

Porządek nabożeństw.

Dnia 4 grudnia o godz. 9 min. 15 rano, nab. szkolne w sali konf.

Dnia 6 grudnia **w II niedzielę Adwentu** o godz. 9 i pół rano, nab. w języku niemieckim, ks. pastor Loth; o godz. 11 i pół rano nab. w języku polskim ks. pastor Michelis.

Dnia 11 grudnia, o godz. 9 rano, nabożeństwo komunijne w języku niemieckim.

Wiadomości statystyczne urzędu parafjalnego.

W czasie od 23 do 30 listopada było:

Zaślubionych: Zygmunt Stefański z Leonją Sztark Henryk Jan Angelus z Wandą Jadwigą Stogniew — Ułasiewicz; Jan Klingszpan z Amandą Franc. — Ludwik Fryderyk Rondio z Emilją Grossmann. — Paweł Powązka z Bertą Hofses. — Tomasz Birnbaum z Katarzyną Krystyną z Filtzów Lehr. — Jan Koziełł Poklewski z Janiną Bronisławą Zielińską. — Jan Gronkowski z Emilją Lembke.

Zmarłych: Józef Czesław Boye lat 60, obywatel ziemski i miasta Warszawy. — Irena Janina Paszkowska 1 rok i 6 miesięcy, córka urzędnika. — Wilhelmina z Gustów Sawińska, żona malarza, lat 63. — Enfrozyna Doner urodzona Glińska, lat 68, żona emeryta.

OFIARY:

Na gwiazdkę dla Sierot Jan Marks. 2 złp.
Na Dom Sierot R. S. — 5 złp.
Dla biednych M. Stegmanowa 10 złp.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Głosu Ewangelickiego" wynosi: kwartalnie 3 złote, miesięcznie 1 złoty. Wpłacać można w administracji— Kancelarja Zboru u WP. W. KĘDZIERSKIEGO, codziennie od 9 — 2 i 3 — 5, telefon 8-26. Redaktor naczelny Ks. pastor A. LOTH, Królewska 19, przyjmuje codziennie od 11 — 12 rano, telefon 184-15. Adres dla czasopism zamiennych i listów do redakcji: Kredytowa 1 m. 12-a.

Redaktor: Ks. A. LOTH. Wydawca: Ewang. Sp. Wyd. „Logos".

Adres drukarni: „Współczesna", Szpitalna 10. Telefon 193-95.